

Zwyciężona

Krystyna Rożnowska

Zwyciężona

Prawdziwa historia

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2018

© Krystyna Rożnowska, 2018

Opieka redakcyjna: Dorota Trzcinka, Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Korekta: Anna Śledzikowska, Izabela Izdebska

Projekt okładki: Łukasz Szczepaniak

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-0837-3

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

DRUK: GRAFARTI • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK Extra 65 g wol. 2.o
dostarczonym przez IGEP A Polska Sp. z o.o.

Szok

To rak – uświadomiła sobie Maria, słuchając lekarki.

– To rak – szepnęła i czekała, aż ta zaprzeczy. Kolejne sekundy upływały jednak w ciszy i po chwili nie miała już wątpliwości, że jest chora. Przeczowała to, odkąd weszła do gabinetu i spojrzała lekarce w oczy, ale jeszcze się łudziła, że to lęk podpowiada jej taką diagnozę – zbyt straszną, by mogła być rzeczywista. Im dłużej jednak słuchała monottonnych, spokojnych słów pani doktor, tym trudniej jej było wypierać tę myśl, boleśnie zakorzeniającą się w jej mózgu.

– To rak – powtórzyła raz jeszcze i odtąd już nie słyszała, co mówi lekarka, niczego więcej nie była w stanie pojąć.

Nie zauważyła nawet, kiedy wyszła ze szpitala. Stała na ulicy.

Jak to? Wszystko się kończy? – myślała, rozglądając się ze zdziwieniem dookoła. Tu było jednak tak samo jak przed dwoma godzinami, gdy tędy przechodziła.

A świat nadal będzie istniał – pomyślała z poczuciem niesprawiedliwości i krzywdy. – Ludzie będą się rodzić, rosnać, uczyć, pracować, podróżować, kochać i nienawidzić, tylko mnie już nie będzie. Wcale? Przemijamy, wiemy o tym, lecz wiedzieć to nie znaczy nie mieć złudzeń, wątpliwości, nadziei, choćby nawet absurdalnych. *A żyźń przosumiela i uszła*, jak mawiają Rosjanie. *Uszła* jak szum wiatru. Zniknę i niewielu to zauważy poza najbliższymi, ale i oni coraz rzadziej będą o mnie myśleć. Bo taka diagnoza to początek końca – docierało do jej świadomości. A może to pomyłka i zaraz wszystko do się wyjaśni? Bo przecież niemożliwe, żeby...

Stała ciągle na ulicy, nie widząc szeroko otwartymi oczami ani starych kamienic nagrzanym słońcem, ani przechodzących obok ludzi. Jeszcze się łudziła, jeszcze miała nadzieję, że wkrótce coś przedsięweźmie, czemuś zaradzi – tak jak dotychczas w każdej trudnej sytuacji.

Oby tylko zapanować teraz nad chaosem myśli i uczuć.

Nie może tak stać bez celu, musi iść w którąś stronę. Iść, iść szybko, aż do krańcowego zmęczenia, aż do utraty sił, do zupełnego wyczerpania. Ale dokąd? Może zatelefonować do... Nie. Mówiąc o tym, co przed chwilą usłyszała od lekarki, potwierdzi tylko fakty. A jednak

trzeba komuś o tym powiedzieć. Komu? Nie zatelefonuje przecież do rodziców, oni sobie z tym nie poradzą. Do córki też teraz nie zadzwoni. Ani do syna. To nie jest rozmowa na telefon. Powie im o tym, ale we właściwym momencie i w odpowiedni sposób. Może by wcześniej porozmawiać z Tomkiem? No i z Teresą. Najpierw z nią. Ale jeszcze nie teraz. Nie zniesie jej tonu i staranności, z jaką będzie wypowiadać kolejne zdania, by ukryć to, co naprawdę myśli, i znaleźć najwłaściwsze słowa pocieszenia.

I co teraz? Jak zdusić ten paraliżujący lęk i zacząć myśleć logicznie? Najlepiej nie myśleć wcale. Gdyby tak miała relanium. Lub alkohol. Mogłaby pić do utraty przytomności, aż nie będzie czuła już niczego. Co za głupi pomysł! I skąd? Nigdy się nie upija. Zresztą to niczego nie zmieni. Gdyby tak zasnąć na zawsze... Nie, o tym nie wolno myśleć, ma przecież dzieci, wnuki. Dokąd uciec? Gdzie się schronić? W kościele. Gdzie jest najbliższy kościół? O, tam – znajduje wzrokiem wystającą ponad dachami wieżę i przypomina sobie wnętrze kościoła, z którego ta wieża wyrasta. W ten jasny, gorący, dręczący hałasem ulicy dzień wejdzie w chłód, ciszę i półmrok świątyni, uklęknie tuż przed głównym ołtarzem i będzie tak mocno błagać Chrystusa wyrzeźbionego w marmurze, aż wskrzesi w nim

iskrę uczuć. On wszystko może. Ale dlaczego miałby ją ratować? Tylu ludzi choruje na raka, wielu z nich wierzy dużo gorliwiej niż ona. Widziała ich w szpitalu – cierpią i umierają tak samo jak wszyscy.

Czy istnieje coś, co mogłoby choćby na krótko stłumić jej lęk? A może on, Tomasz? Gdyby tak wtulić się w niego i zapomnieć na chwilę o całym świecie... Nie, teraz nie jest do tego zdolna. Strach ją sparaliżował, zamienił w kamień, zamknął drogę do jej wnętrza. Nie ma w niej miejsca, które nie byłoby wypełnione lękiem przed śmiercią. Brrr, poczuła jej chłód w środku majowego, wyjątkowo gorącego dnia.

Rak nie wyrok – nagle przyszło jej do głowy pojawiające się na ulotkach czy w gazetach hasło, które stało się już sloganem. Widocznie są takie chwile, kiedy slogan znów nabiera głębszego znaczenia. Istnieją przecież szpitale onkologiczne, leczą tam chorych na raka. Po cóż by one były, po co lekarze i te wszystkie medykamenty, gdyby rak zawsze oznaczał śmierć? Zna kilka osób, które już dawno się wyleczyły z tej choroby.

– I żyją. Żyją – wyszeptała kilka razy i szpital, w którym kumulowało się tak wiele cierpienia, że trudno było zbliżyć się do niego bez bolesnej refleksji o nieuchronności choroby i śmierci, stał się dla niej nadzieją. Co prawda to w szpitalu przed chwilą usłyszała

od lekarki o zmęczonych oczach: „Niestety, jest to nowotwór złośliwy, jasnokomórkowy rak nerki...”. Teraz sobie przypomina, że z jej ust padło słowo „rak”. Jakże w tamtej chwili nienawidziła tej kobiety. I cóż się dziwić, że kiedyś zabijano posłańców złych wiadomości. Ta kobieta pewnie powiedziała już dzisiaj niejednemu pacjentowi, że jest chory na raka; przyjmuje ich przecież pięćdziesięciu, a czasem ponad sześćdziesięciu dziennie. A wcześniej obmyśliła sposób, w jaki będzie przekazywać tę wiadomość – wie, jakich słów użyć, jak nadać głosowi odpowiedni ton. Czy lekarka rzeczywiście jej współczuła? Czy można zachować taką wrażliwość, by codziennie szczerze współczuć kilku czy kilkunastu osobom, które informuje się, że są chore na raka? Czy to nie jest zbyt obciążające? Przecież lekarz musi spożytkować swoje siły na leczenie, nie tracić ich na przeżywanie wraz z chorym jego cierpień i rozważanie o śmierci. Ale lekarka nie powiedziała, w jakim stadium jest jej choroba, a przynajmniej ona sobie tego nie przypomina. Nie było mowy o przerzutach. Ani słowa. To może ich nie ma, może jeszcze uda się zniszczyć tego raka, odwrócić bieg spraw, zatrzymać nadchodzącą śmierć. A ona o nic nie zapytała, wyszła szybko, uciekła, jakby można było uciec od raka. Musi tam wrócić. To jedyne miejsce, gdzie może znaleźć ratunek.

Będzie się leczyć – postanowiła. Tylko na tym teraz się skoncentruje. Dobrze, że wkrótce skończy się rok szkolny, bo w takim stanie nie mogłaby stać godzinami na środku klasy, obserwowana przez trzydzieści par oczu, i prowadzić lekcji. Nie, temu by nie podołała, zdradziłaby się ze swoim lękiem, z chorobą. Uczniowie są czujni jak sejsmograf.

10

Poczuła, że traci siły, a domy i ludzie oddalają się, falują, wszystko drży w światłocieniach upalnego dnia, barwy zlewają się i przenikają migotliwie – jak na obrazach impresjonistów. Podniosła rękę do skroni i starła kropelki potu, ale ani ostry ból głowy, ani szum w uszach nie ustąpiły.

Byle tylko nie upaść – pomyślała.

W rozlewającej się wokół mgłę dostrzegła nadjeżdżającą taksówkę. Zebrała siły, by wyciągnąć rękę i pomachać w jej kierunku. Samochód się zatrzymał. Wsiadła. W chłodzie klimatyzowanego auta odzyskiwała jasność umysłu i niechętnie wracała myślą do tego, co przed chwilą usłyszała w Instytucie.

– Na osiedle Kolorowe – rzuciła w stronę kierowcy.

– Znaczący... Nowa Huta? – przyjął zamówienie.

Ruszył i po mistrzowsku, ciągle szukając wolnego miejsca między innymi pojazdami, prowadził samochód. Jechali ciasnymi, zatłoczonymi ulicami.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał, przenosząc na moment wzrok na jej twarz.

– Tak – odburknęła niechętnie, żeby nie prowokować rozmowy.

Siedzieli w milczeniu, oślepieni ostrymi promieniami słońca odbijającymi się w błyszczących maskach samochodów, a miasto przesuwało się za oknem. Po obu stronach ulicy kolejne szare kamienice w klasycznym stylu prezentowały swoją urodę przymgloną przez czas. Samochód zatrzymywał się co chwila na światłach. Nie wiedziała, ile czasu minęło, nim znaleźli się wśród kolorowych bloków Nowej Huty, podobnych do tych, które stoją w nowych dzielnicach miast na wszystkich kontynentach.

Taksówkarz odszukał blok, w którym mieszkała. Zapłaciła i z wysiłkiem rzuciła: „Do widzenia”. Wjechała windą na szóste piętro i weszła do pustego mieszkania, cichego, chłodnego – zasunięte kotary nie wpuszczały do wnętrza promieni słońca. W przedpokoju zrzuciła buty, weszła do sypialni i zapadła się w fotel.

Spokojnie, trzeba przemyśleć wszystko od początku. Jednak najpierw relanium. Nie, kieliszek koniaku. Może jedno i drugie? Nie wolno mieszać alkoholu z lekarskami, to szkodzi. Śmieszne, co może szkodzić bardziej niż rak. „Ja niczego się nie boję, mam raka” – skąd nagle ten stary, niewybredny dowcip? I jakże teraz przykry.

Kiedy to się zaczęło? – szukała w pamięci chwili, w której choroba, będąca teraz przyczyną jej udreki, zasygnalizowała swą obecność. Choć wtedy, gdy się zaczęła, na pewno jeszcze długo o niej nie wiedziała. A może nie chciała wiedzieć? Najpierw był kaszel. W grudniu ubiegłego roku, czyli pół roku temu. Po kilku tygodniach czuła się nim tak zmęczona, że poszła wreszcie do przychodni. Lekarka zaleciła jej tabletki do ssania, wapno, polopirynę. Kaszel jednak nie ustępował, więc po dwóch tygodniach znów do niej wróciła. Pani doktor przepisała antybiotyk, a że poprawy nadal nie było, zamieniła go na inny. Wypisała też skierowanie na prześwietlenie płuc. Zdjęcie nie ujawniło żadnych niepokojących zmian, ale kaszel nie mijał. Wczesną wiosną znowu poszła do swojej lekarki, tym razem zapisała jej leki przeciwkaszlowe, przeciwgorączkowe, a potem kolejny antybiotyk. Przez cały czas piła też herbatki ziołowe, miód, sok malinowy, lecz kaszel męczył ją nadal.

Z końcem marca, będąc w toalecie, zauważyła krew w moczu. Rano znów wybrała się do przychodni. Otrzymała skierowanie do nefrologa, terminy były jednak odległe: trzy czy cztery miesiące czekania. Przez pierwszy miesiąc czekała, siłać się na spokój i pocieszając, że widocznie zagrożenie nie jest tak wielkie, skoro pani doktor nie zaproponowała, by tę wizytę

przyspieszyć, ani niczego w tym celu nie zrobiła, ale coraz częściej nachodziły ją myśli, że traci cenny czas, bo przecież powinna się leczyć. Kiedy przeczytała w Internecie, że krwimocz może być objawem groźnej choroby, także nowotworowej, zaczęła szukać sposobu przyspieszenia badania. I wtedy Ewa, pielęgniarka, koleżanka jej córki, poprosiła zaprzyjaźnioną lekarzkę o zdiagnozowanie Marii. Badanie USG brzucha wykazało w lewej nerce duży guz. Obecność guza potwierdziła tomografia komputerowa, badanie ujawniło też w płucach niewielki cień. Właśnie dzisiaj usłyszała, jaki jest wynik tych badań, i diagnozę: rak. Guza trzeba usunąć jak najszybciej, to oczywiste. Musi go wyciąć, uwolnić się od niego.

I po cóż były te starania? – myślała teraz zawiedziona. Po co zdrowa dieta, ćwiczenia, kolejne mammografie? Liczyła, że w ten sposób uniknie raka. Nie tyle obawiała się zawału czy udaru, chociaż to te choroby są ponoć częściej przyczyną zgonów, ile właśnie nowotworu. Tak, tego bała się najbardziej, jak prawie wszyscy. Może dlatego, że przyczyna tej choroby jest ciągle nieznana, a to, co nie zostało poznane, wydaje się groźniejsze. Uległa kancerofobii, powszechnemu przekonaniu, że rak to epidemia naszych czasów, ale ten lęk był uzasadniony. Zachorowań przybywa, co potwierdzają statystyki,

sama dość często słyszała, że ktoś ze znajomych czy ich krewnych zachorował na nowotwór. Nie używała słowa „rak”, pomijała je w rozmowie lub zastępowała innym, a określenie „karcinogeny”, czyli powodujący tę chorobę, brzmiało w jej uszach groźnie jak szczęk ładowanej broni. Z lęku przed rakiem kilkanaście lat temu rzuciła palenie, a kiedy przeczytała o karcinogenym działaniu spalonych tłuszczów, powymieniała stare patelnie na nowe, teflonowe. Zastanawiała się, czy nie zrezygnować również ze stosowania hormonów, które przyjmowała od czasu menopauzy w postaci plasterków przyklejanych na pośladkach. Gotowa była zrobić wszystko, by ustrzec się nowotworu.

Kiedy jednak usłyszała w radiu, że rozwojowi tej choroby sprzyja stres, poczuła się bezradna. Bo czy można zapobiec stresom? Jak zdobyć się na obojętność wobec różnych porażających umysł i serce wiadomości i zdarzeń? Jak ustrzec się przed przeżyciami samowolnie ogarniającymi duszę i paraliżującymi ciało? Skąd wziąć pancierz uodparniający na ciosy zadawane czasem nawet przez bliskich i powstrzymać nerwy ulegające napięciu, palpację serca, jego ból odzywający się niczym protest organizmu w chwili poczucia krzywdy lub upokorzenia? Jak zasnąć, gdy nie można ukoić rozedrganego niepokojem umysłu? Czasem nawet

pastylka nie pomaga. Łatwiej już zapobiegać rakowi przez wprowadzenie do diety większej ilości jarzyn, zrezygnować z tłuszczów zwierzęcych, częściej kupować na obiad ryby lub używać dobrej oliwy, a zamiast ciastek podawać na deser owoce. Bo chodzenie na basen czy popołudniowy spacer wymagało już większej dyscypliny, chociaż tu był dodatkowy bonus – przekonanie, że służy to także ładnej sylwetce.

Zachorowała, choć dbała o swoje zdrowie chyba bardziej niż inni. A mówi się, że każdy jest kowalem swojego losu. Widocznie nasz los nie tylko od nas zależy, jest jeszcze coś albo ktoś, kto decyduje, czy zachorujemy, czy też nie. Teraz, w danej chwili, bo każdy kiedyś zmierzy się przecież ze śmiertelną chorobą. Ale może, gdyby nie jej starania o zdrowie, już dawno by zachorowała? Może już nie byłoby jej na tym świecie? – rozmyślała. A przecież nie mogła przewidzieć, że w jej nerce zacznie rosnać guz ani temu zapobiec – usprawiedliwiała się przed sobą.

Gdyby jednak poszła wcześniej na USG brzucha, kiedy po raz pierwszy usłyszała od lekarki, że musi wykonać to badanie, gdyby nie zwlekała, nie czekała w kolejce, lecz prywatnie zrobiła je od razu, szanse na wyleczenie mogłyby być większe. A teraz guz jest pewnie tak duży, że zagraża jej życiu i trudno będzie

się wyleczyć lub jest to już niemożliwe. Czyta to z poważnych min lekarzy, z ich oczu.

– Tak, to chyba koniec – powiedziała szeptem. Była sama, więc nikt nie zaprotestował ani jej nie pocieszył.

A co z płucami? Ten cień. Co to może być? Prześwietlenie sprzed pięciu miesięcy niczego niepokojącego nie wykazało, ale teraz... Nie wiadomo. Kaszle od wielu miesięcy, leki przeciwkaszlowe niewiele pomagają. Nie może jednak mieć pretensji do lekarki z przychodni, że wcześniej jej nie zdiagnozowała, bo przecież się starała, tyle że najpierw przypuszczała, że to refluks, a potem mówiła coś o przewlekłym zapaleniu krtani. Zresztą po co się okłamywać, szukać argumentów dla własnego usprawiedliwienia, będzie szczerza przynajmniej wobec siebie – po prostu sama bała się, że wyniki badań potwierdzą jej najgorsze przypuszczenia, i dlatego nie spieszyła się z ustaleniem diagnozy. Trzeba jak najszybciej pozbyć się tego guza, usunąć go, choćby razem z nerką – zdecydowała.

Jednak koniak. Bez relanium. Napełniła ten większy kieliszek i wypła szybciej niż zwykle. Potem drugi.

Może jakoś z tego wyjdę – szukała nadziei. „Nogami do przodu” – znów natrętnie wmieszał się w jej myśli głupawy żart z jakiejś polskiej komedii i zaśmiała się głośno, nienaturalnie, oszołomiona alkoholem.

Dlaczego człowiek nie może panować nawet nad własnymi myślami? Cóż więc może? Jest taki, jaki jest, gdyż ma takie, a nie inne geny, cechy charakteru, a więc i życie. Na swoje geny nie ma przecież wpływu. W jakim zatem stopniu kształtuje własną przyszłość? Podobno ma wolną wolę, otrzymał ją od Boga i może decydować, jaki następny krok postawi na drodze swego życia. Jak to w końcu jest? Ile zależy od nas samych, a ile od Boga czy przypadku? Bo chyba jednak sami o sobie nie stanowimy do końca? Nie wybiera się choćby miejsca swego urodzenia, nikt nas nie pytał, czy to ma być biedna Afryka, czy bogaty kraj Europy lub Ameryki, ani w jakiej rodzinie chcemy być wychowywani. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym dłużej. Uważała, że to strata czasu, skoro jest to problem nie do rozwiązania, przynajmniej naukowymi metodami, w które najbardziej wierzyła. Dopiero teraz, kiedy wiedziała, że w jej nerce jest guz, znów zadawała sobie te pytania.

Nieco wolniej sączyła trzeci kieliszek koniaku. Nigdy tyle nie piła, najwyżej lampkę wina albo dwie, ale teraz postanowiła, że będzie postępować na przekór wszystkim zasadom zdrowego życia, których dotychczas przestrzegała – będzie piła alkohol, jadła to, co lubi, i kochała się, gdy tylko będzie ku temu sposobność. Wszystkim i wszystkiemu na przekór, na złość. Tylko

czy potrafi tak żyć, czy się na to zdobędzie? Jak będzie się czuła wobec siebie i innych?

Nawet na grzech mnie nie stać – pomyślała zrezygnowana.

Napięcie nieco ustąpiło.

– Będzie to, co ma być. – Westchnęła, próbując pogodzić się z losem. Wstała z fotela i spojrzała w lustro, uważnie przyglądając się swojemu odbiciu. Kim jest ta niemłoda, silnie zbudowana kobieta z ufarbowanymi na blond włosami? Nie zdążyła jeszcze przyzwycząić się do swojego obecnego wyglądu, nosiła w wyobraźni obraz własnej twarzy i sylwetki sprzed kilku czy kilkunastu lat, toteż gdy przypadkowo spoglądała w lustro, bywała zaskoczona. Tyle zmarszczek, coraz głębiej zapadające się oczy, obwisły podbródek, a teraz rozmazany makijaż i grymas rozpaczy – to wszystko dodawało jej lat.

Jakże inaczej wyglądała kiedyś. Przypominały jej o tym zdjęcia wiszące nad komodą i te leżące w szafie, na najwyższej półce, w pudle wciśniętym między książki. Od kilku lat zamierzała je posegregować i розміścić w albumach, ale nie znalazła na to czasu. Może bała się wspomnień? „Życie jest pasmem rozczarowań, ciągłą utratą złudzeń” – tak to chyba ktoś powiedział i teraz bardziej niż kiedykolwiek była skłonna przyznać mu rację.

Czas spojrzeć wstecz. Nie wstając z fotela, z przy-
mkniętymi oczami oglądała w pamięci swoje zdjęcia,
począwszy od tych z dzieciństwa, na których z wielką
kokardą we włosach uśmiechała się z ufnością do świata.
Dziecięca buzia zmieniała się na kolejnych fotografiach,
nabierając indywidualnych rysów. Z wiekiem jej twarz
uwieczniona na zdjęciach stawała się coraz poważniej-
sza. Nawet gdy się uśmiechała, można było dojrzeć w jej
oczach niepokój czy smutek. Na wielu są także jej rodzi-
ce i brat, ale gdy dorastała, coraz częściej fotografowano
ją z rówieśnikami, w szkole lub na koloniach. Wtedy
jeszcze była pewna, że jest ładna i kochana, a rodzice
i krewni utwierdzali ją w tym przekonaniu. Wiedziała,
że jest dla nich najważniejsza, jednak z czasem tracili
wpływ na sprawy, które stawały się dla niej istotne –
na jej wyniki w nauce, pozycję wśród rówieśników,
sympatię najatrakcyjniejszego kolegi, a więc poczu-
cie wartości i szczęścia. Przekonywała się stopniowo,
że nie jest ani najładniejsza, ani też najmądrzejsza, jak
jej się wydawało we wczesnym dzieciństwie. Kiedy cią-
gle słyszała zachwyty i pochwały rodziców i krewnych,
upewniających ją rozkochanym wzrokiem, że jest wy-
jątkowa i nadzwyczajna, swoją przyszłość wyobrażała
sobie jako pasmo sukcesów. Z czasem pojęła, że nie
może osiągnąć wszystkiego, czego pragnie, a w życiu

czeka ją nie tylko powodzenie, ale i klęski, krzywdy, obojętność i odrzucenie. Świadomość ta została z nią już na zawsze, wyostrzyła jej rysy, a spojrzeniu nadała odcień uporczywości czy może melancholii.

Na fotografiach, w tle, były bloki Nowej Huty. Przyjechała tu z rodzicami i bratem, gdy była małą dziewczynką; zamieszkali w centrum budowanego wówczas miasta, które wkrótce stało się dzielnicą Krakowa. Rosnąc, poznawała najbliższe otoczenie – plac Centralny, aleję Róż, Centrum B, A, D, aleję Przewodników Pracy, Rewolucji Październikowej, Planu Sześcioletniego. Oznaczone literami i cyframi osiedla były do siebie podobne, tak samo jak dwu-, trzy- czy czterokondygnacyjne bloki, w których znajdowały się identycznie rozplanowane mieszkania, a w nich stały takie same pachnące nowością regały, tapczany, stoły, krzesła i szafy. To podobieństwo osiedli, budynków, mieszkań i sprzętów pozostało w jej pamięci ilustracją socjalistycznej równości.

Pamiętała ciemny dym snujący się nad miastem. Wydychał go rytmicznie Kombinat Metalurgiczny nazwany imieniem Włodzimierza Lenina, rozświetlając w czasie spustu surówki szare, jednorakie bloki bukiem iskier jak fajerwerki. Był już Teatr Ludowy i kino Świt. Gdy zasypiała i kiedy się budziła, słyszała stukot tramwaju łączącego osiedla mieszkalne z Kombinatem,

tak przepelnionego w godzinach szczytu, że robotnicy stłoczeni na stopniach w jego otwartych drzwiach zwisali na zewnątrz jak kiście winogron.

Gdy miała kilkanaście lat, w pobliżu jej bloku, na miejscu kolorowych klombów, postawiono pomnik Lenina – monumentalny, przytłaczający swoją wielkością dumny wódz rewolucji zmierzał zdecydowanym krokiem w świetlaną przyszłość. W państwowe święta oficjalne delegacje przy dźwiękach rewolucyjnych pieśni składały mu kwiaty. Jako uczennica podstawówki, a potem liceum uczestniczyła w tych uroczystościach, ale w domu ojciec, kiedyś żołnierz AK, wybijał jej z głowy socjalistyczne ideały. Entuzjazm nowohuckiej społeczności dla władzy ludowej okazał się złudny, coraz częściej pod osłoną nocy niszczone pomnik Lenina, beczeszczono go, oblewano farbą. Raz ktoś podłożył pod niego ładunek wybuchowy i pozbawił wodza... pięty. Gdy nadeszły polityczne zmiany, w obecności rozentuzjasmowanego tłumu pomnik Lenina zdjęto z cokołu, a potem ponoć sprzedano szwedzkiemu milionerowi gromadzącemu osobliwości. Wódz Rewolucji przestał być także patronem Kombinatów, który nazwano imieniem Władysława Sendzimira.

Dla mieszkańców Nowej Huty pobliski Kraków długo był odległy i obcy. Pamięta wycieczki szkolne

na Rynek, do Sukiennic czy na Wawel. Wybierając się do śródmieścia na zakupy, jej krewni mówili, że jadą „do miasta”. Zorientowała się z czasem, że ta najmłodsza dzielnica, zbudowana przez władzę socjalistyczną, zasiedlona przez najuboższych przybyszów z okolicznych i odleglejszych wsi i nieprzystająca swym charakterem do królewskiej przeszłości podwawelskiego grodu, była przez rodowitych krakowian traktowana nieco pogardliwie. Dopiero po latach w nowohuckiej architekturze dopatrzone się wpływów renesansu, klasycyzmu, neoklasycyzmu, a Centrum Administracyjne Kombinatów zaczęto nazywać „Pałacem Dożów”.

Kiedy rozpoczęła studia i na co dzień przebywała w śródmieściu, poczuła się w końcu krakowianką. Pochodzący z różnych stron kraju studenci pytali ją, jako mieszkankę tego miasta, co warto zobaczyć, dokąd pójść na zakupy, gdzie tanio i dobrze się zabawić, a ona, by nie kompromitować się niewiedzą, pospiesznie poznawała stare dzielnice miasta i jego zabytki.

Wtedy po raz pierwszy się zakochała, w koledze z trzeciego roku. Poznała go w studenckim klubie, pili tam piwo, a potem ją odprowadził i na Plantach pocałował, a raczej musnął jej usta. Zresztą już dokładnie nie pamięta, jak to było, ale nigdy nie zapomni swej późniejszej udręki. Gdy go spotykała na korytarzu uczelni

albo w bibliotece, paraliżowały ją emocje, zamierała, gubiła myśli, nie mogła wymówić słowa, rumieniała się, drżały jej ręce, więc unikała go, by nie spostrzegł, jak duże wywiera na niej wrażenie. Myślała jednak o nim bez przerwy, a przed egzaminami uczyła się na głos, by słowa docierały do rozpalonej marzeniami głowy. Nie był przystojny, ale na pewno inteligentny – tak przy najmniej twierdziły jej koleżanki. Kiedy po roku ten wymarzony zaproponował jej spotkanie, odmówiła; była zbyt wyczerpana nieodwzajemnionym uczuciem. Nigdy się nie dowiedział, jak bardzo była w nim zakochana.

23

Platoniczna miłość – uśmiechnęła się do tamtych wspomnień. Choć nie wszyscy w nią wierzą, to jednak istnieje, a życie jest dzięki temu bardziej zagadkowe i nieprzewidywalne. Dlaczego tak trudno o wzajemną miłość, choć każdy jej pragnie? Myślała już o tym nie raz. A jeśli się zdarzy, to z jakichś przyczyn trzeba ją w sobie zabić. Gdyby jeszcze raz przeżyć miłość, choćby nieodwzajemnioną.

Nie, nie chce umierać. Patrząc na swoje wiszące nad komodą zdjęcie ze studenckich lat, wystukała na telefonie numer Teresy.

– Teresko, ja mam raka – zaszlochała do słuchawki.

– Nerki? Już zdiagnozowano? To pewne? – pytała przyjaciółka konkretnie i rzeczowo, jak zawsze, kiedy

chodziło o istotną sprawę. – Tego się obawiałam. Nie chciałam cię martwić, ale objawy były niepokojące. Cóż, rak nie wyrok, musisz się leczyć.

– Ja umrę. Słyszysz? Mnie już nie będzie. Nigdy! – krzyczała, chcąc wytrącić ją z równowagi i zburzyć jej spokój. – A tobie, jak widzę, jest to obojętne. Pewno, to nie ty masz raka. Cudzy ból nie boli.

– Jesteś pijana. Zaraz do ciebie przyjadę. Będę za dwadzieścia minut. Tylko nie płacz. I już nie pij. Otworzysz mi drzwi, pamiętaj, nie zaśnij, bo musisz otworzyć mi drzwi.

Cisza w słuchawce. Zegar bije dziesięć razy. Nie wolno jej już pić ani spać. Tylko niech wreszcie Teresa przyjedzie. Dwadzieścia minut. Wskazówki zegara tak wolno się poruszają. Telefon znów dzwoni, ale to na pewno nie Teresa, bo ona jest już w drodze, więc nie podniesie słuchawki. O nie. Ktokolwiek by to był, nie będzie z nim rozmawiać. Czeka na Teresę.

Przyszła już po siedemnastu minutach. Była dziennikarką w regionalnej gazecie, poznały się w szkole średniej, ich przyjaźń przetrwała do dziś. Weszła energicznie, cmoknęła przyjaciółkę w policzek mokry od łez, ale nie zdradzała emocji.

– I tak wiem, że też się boisz – pomyślała Maria, obserwując ją spod brudnych od tuszu powiek.

– Cześć. Nie płacz. I nie pij. No, nie maź się – przywitała ją oschle Teresa, bez sentymentów. – Najlepiej zgłosić się do Instytutu Onkologii – od razu przeszła do sedna. – Jutro. Co prawda czeka się tam godzinami, ale oni mają najwięcej doświadczenia w leczeniu tej choroby. Zresztą co instytut to instytut – skwitowała. – Musisz się uzbroić w cierpliwość, wziąć ze sobą dobrą książkę i przygotować się na długie czekanie. Ale przyjmą cię, na pewno – zapewniła. – Gdy podejrzewasz raka, możesz pójść tam z ulicy i będziesz przyjęta tego samego dnia.

25

Jej głos brzmiał surowo, a słowa były twarde jak wyciosane z kamienia.

Nigdy nie mówi do mnie takim tonem – uświadomiła sobie Maria. Łatwo jej trzymać fason, bo nie choruje na raka. Nie ona musi iść na operację, nie ona będzie cierpieć i nie ona umrze. Znów popatrzyła na przyjaciółkę z niechęcią. Ciekawe, czy na moim miejscu też zachowałaby zimną krew.

– Wiem, powiedziano mi dzisiaj, że muszę się tam zgłosić. Trzeba usunąć nerkę. Wyznaczą mi termin operacji – Maria mówiła już spokojniej, dostrajając się nieświadomie do tonu i sposobu rozmowy.

– Jak trzeba, to trzeba. Nerki są dwie. – Terasa nadal była konkretna, nawet nieco oschła. – Pójdę z tobą, Marysiu – dodała łagodniej.

– Nie, pójdę sama – zachnęła się Maria. – Muszę sama sobie radzić, nikt nie będzie miał dość czasu, by chodzić ze mną na każde badanie czy na kolejne wizyty. To leczenie może potrwać, a ty masz pracę, dom, wnuki. Zresztą wspomniałaś, że jutro masz konferencję.

– O jedenastej. Wystarczy, jeśli dotrę tam o dwunastej, po oficjalnym otwarciu. Będę u ciebie jutro rano o siódmej i pojedziemy do Instytutu. Teraz muszę wracać, bo zostawiłam Jaśka samego, a to jeszcze dziecko. Czekać na mnie jutro rano – powiedziała kategorycznie. Pożegnała się, patrząc gdzieś w bok, cmoknęła przyjaciółkę w policzek i wyszła, nie dając jej czasu na wahania i wątpliwości.

26

Wróciła rano, przed siódmą. Maria była już gotowa do wyjścia. Nie spała od czwartej trzydzieści, wcześniej także budziła się kilka razy, ale nie odczuwała zmęczenia. Wsiadły do samochodu Teresy, po drodze rozmawiały o błahych sprawach. O siódmej dwadzieścia zaparkowały w pobliżu Instytutu. Na widok tego budynku Marię przeszył dreszcz. Zawsze gdy tędy przechodziła, patrzyła ze współczuciem na wchodzących i wychodzących; wyobrażała sobie, jak bardzo muszą